



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Jak teraz wygląda Warszawa?

Prawdopodobnie obraz jej podczas skwarów letnich, wicherów unoszących tumany kurzu i nieustannego bielenia się i malowania, nie jest wcale podobny do syreny wynurzającej się z fal błękitnych.

A co słyhać w Warszawie?

Albo ja wiem!

Należąc do tej liczby szczęśliwców, którym udało się opuścić jej szanowne mury. Przelotem tylko zjawiam się na jej brukach i co najhyżej je opuszczam.

Chwila obecna nie należy do tych, które wzbudzają uczucie tęsknoty do ukochanego z kąd inąd miasta. Kto może to się wynosi dalej lub bliżej, byleby tylko poza jego murami się znaleźć. Prawdziwym nieszczęściem dla pozostałych jest właśnie to nieustanne strojenie się starej elegatki, która, ażeby być piękną, nie arabskich pachnidła, nie perfum prawdziwie paryzkich i delikatnego różu używa, lecz kąpie się w olejnej farbie o terpentynowym zapachu, okurza się ostrą wonią asfaltowego dymu, otacza się lotnym piórkiem lub warstwą zbitą gliny wykopów kanalizacyjnych i uśmiecha się do nas błogą nadzieją przyszłości, że kiedyś, kiedyś będzie bardzo piękną i tych, co jej nie opuszczają podczas ogórkowego sezonu, potrafi wynagrodzić urokiem swych wdzięków pięknymi parkami i skwerami, szeregiem drzew stojących po obu stronach ulic, drzew, które przyjmują się wreszcie i pozwolą ojcom, dbającym o piękność miasta, zapomnieć o trudzie Penelopy. Kiedyś tak będzie, ale teraz, ponieważ tak nie jest, nie wiele ma władzy głos syreni naszego grodu i kto może, umyka od niebezpiecznych zasadzek, jakie nogom

przechodnia stawiają kanały i przykanaliki, lub dachówki spadające co chwila z nowowznoszących się lub restaurujących się domów. Jeżeliś spotkał gromadkę ludzi i zechciałeś byś niedyskretnym i podsłuchać ich rozmowy—to w gwarze gawędy posłyszysz najwięcej powtarzające się wyrazy: wyjeżdżam, wyjadę lub wyjechałem, a—że jestem, to tylko jakaś potrzeba, choćby kupienie pewnych produktów dla rodziny, sprowadziła na dzień lub godzin kilka do miasta.

Do tych, co już wyjechali, zalicza się i wasz sługa najniższy, tylko, gdy jedni pluskają się w udrzuwających falach Niemieckiego morza, inni powietrze górskie piersiami spragnionymi wdychają, inni zaś, a takich jest liczba największa, siedzą w Mrozach, narzekając na niewygodę letnich mieszkań, lub w Otwocku, gdzie turkot kolejowy nie daje im snu pożądanego, a wiatr osypuje piaskiem, albo w Jabłonnie wreszcie, gdzie 130 rubli zapłaciwszy za dwa małe pokoiki, za cenę droższą nawet niż jest w Warszawie, dostają jaja i mięso a o kąpieli źródlanej czy rzecznej marzyć nie mogą, bo do wody daleko: mnie otuliła swoim spokojem wieś, wieś prawdziwa pełna szumów i ciszy zarazem, strojna w kwiecie polne i łąk szmaragdy, ubrzożona piękną szarfą lasów i wartkimi nurtami szybko płynącego Liwca.

Jestem więc w domu przyjacielskim — a gościnnym, jak to dawniej bywało — i — gdy w dziennikach warszawskich czytam korespondencye z Jabłonną czy Chotomowa przepelnione narzekaniami na niewygodę i nudy, na wydmy piasecyste, w których grzęzną nogi letników, na zupełny brak wody do mycia grzesznego ciała, na niegościność bliźniego sąsiada a właściciela lasu, po którym chodzić nie wolno, na towarzystwo, zresztą dość liczne; bo z trzydziestu składające się rodzin, lecz w braku zajęcia oddające się kłótliwemu wintowi i preferansowi strupieszalemu już nieco: ja, w tym domu wiejskim, jeżeliś się nudził kiedy, tobym o nudach zapomniał i po ratunek nie potrzebowałbym się udawać do zie-

lonego stolika, mając przed sobą ogromną przestrzeń pokrytą czubkami chat wiejskich, a w tych chatach lud, a u tego ludu nie znane mi dotąd serca i rozumy, pragnienie i uczucie.

Ziemia uboga, pełna nizin, moczarów i piasków!

To prawda! lecz na tych nizinach, moczarach i piaskach pracują silne dłonie rozumną kierowaną głową. To też ja, mieszkaniec ziemi, którą niegdyś Trembecki witał:

Miła oku a licznym ożywiona płodem,
Witaj kraino mlekiem płynąca i miodem.

ja, mieszkaniec tej ziemi, powiadam, zdziwiłem się wynikiem pracy tych ludzi, którzy ubogiej ziemi kazali wydawać piękne, ciężkie kłosa pszeniczne, z nizin porobili przepyszne łąki na których wonne zbierają siano, moczary zamienili na stawy rybne, według ostatnich wskazówek gospodarczej nauki, a nawet duże łąny chwieją się zieloną kitą cukrowych buraków i cieszą oko gospodarskie. Byłem tu i tam, za Liwcem i przed Liwcem i tak z własnych opustoszeń, jako też i z zebranych wiadomości, ujrzałem wszędzie niemal zamożność, wysoką kulturę, dającą zyski, jakich pozazdrościć może mlekiem i miodem płynąca ziemia. Nęciły wzrok mój pięknie uprawne łąny obszarów, z rozkoszą nurzało się oko w zieleni parków magnackich, ale biegło chętnie pod strzechy wiejskie i osady szlacheckie.

Wszędzie to samo. Pielęgnowana ziemia hojnie za miłość płaci.

Z ciekawością zapoznawałem się z owymi szlachciami, szaraczkami dawniej zwanymi. Brat szlachcic na pozór w niczem się nie odróżnia od kmiecia, chodzi w takiej samej, jak i on kapocie, koszulę zgrzebną ma na sobie, a małżonka i córka pracują w polu jak każda wiejska niewiasta. A jednak — niezapomniał o swoim klejnocie, o tem, że jest *dobrze urodzony*, kastowość większa tu jest nawet niżeli między arystokracją z rodu i krwi. Podczas,

gdy praprawnucze kasztelańskiego rodu, dla podtrzymaniu splendoru nazwiska nie zawaha się uderzyć w konkury do napełnionego złotem fartuszka, taki brat—szlachciec z Opola czy Kisielan córę swą za bezherbowca nie wyda, a bywa dość często, że panna z takiej szlacheckiej sadyby i pięć tysięcy rubli wybranemu swojemu w posagu przynieść może.

„Niepospolituj się, panno, masz 1,000 złotych posagu“ mawiano dawniej...

Dzisiaj się złotówki na ruble zamieniły i panna pospolitować się nie może...

Że szlachta ta oszczędnością i pracą dorobiła się i dorabia grosza, jest najlepszym dowodem to, że w ostatnich już czasach parę majątków pańskich na własność nabyła. Wspomniane wyżej Kisielany nad Liwcem, wieś w bardzo pięknej miejscowości położona, otoczona sosnowym a dorodnym lasem od dawien dawna należała do szaraczków, którzy nosili jedno Kisilińskich miano. Lecz Opole już przed niedawnymi czasami zostało kupione i dobrze zagospodarowane. W Opolu odwiedziłem jednego takiego pana brata Andrzeja Jagodzińskiego, który, należąc do kupującej spółki, nie chciał wcale posiadać na własność ornego gruntu lecz przy podziale ziemi prosił by dano przestrzeń, jaką zajmował niegdyś park przy pańskim dworze. Oczywiście, że się zgodzono, boć lepsza rola, choć piaszczysta, niż ogród ze dworem wprawdzie, ale zarośnięty drzewami grusz i śliwek.

Pan Andrzej wiedział jednak co czynił.

Dwór mu się spalił, przeniósł się więc do dawniej ekonomicznej chałupy, ale drzewka pielęgnował, sadił, szezepił; okopywał, jak się należy. Zaprowadził także pasiekę, w której widziałem ule przeważnie systemu Lewickiego i gdy inni sąsiedzi tuż za płotem siedzący uprawiali piaszczystą ziemię, on porał się z drzewkami. I oto dzisiaj pan Andrzej Jagodziński, przy roku dobrym, gdy ule wypełnią się plastrami wonnego miodu, na gałązkach zacierwienią jabłka, soczyste gruszki zwieszają się ku dołowi, krzaki malin osypią się rubinami jagód, toż samą agrest zaświeci, a szczególnie gdy dopiszą gruszki—węgielki: imć pan Andrzej Jagodziński trzy tysiące, jak lodu, rubelków zgarnia do swojej kalety. I jakże nie uściśnić spracowanej dłoni tego szlachcica, tego pana na własnych śmieciach.

Zdarzyło się tak, że musiałem się nasamprzód zapoznać z materialną stroną tych, którzy niegdyś szerpentyne w miedzę zatknawszy, a czapką głowę jej przykrywawszy, ostry lemiesz dłonią własną w ziemię zapuszczali; duchową głębię człowieka trudniej jest zbadać, choć oko chętnego badacza i do niej jakąś szczelinę znaleźć potrafi i dopatrzeć lub nie-dopatrzeć tego, co szukał.

Pod względem umysłowym wiele tam jeszcze do życzenia pozostaje. Na książce do nabożeństwa prawie każdy czytać umie i z książki Pana Boga w kościele chwali, ale nie spotka się tam nigdzie choćby mała biblioteczka, ani dziennik za- den pod strzechę tych obywateli nie zbłądzi. W tym kierunku brać starsza wiele by zrobić mogła, ale za wiele to znów są panowie, za niskie tam progi na ich nogi. Za małe też mają pojęcia o tem, co wpa- jać potrzeba. Pominąwszy więc tę stronę umysłowego wykształcenia, druga—moralna, wcale pięknym światłem jaśnieje. Oczywiście, że za mało miałem czasu, ażebym się sam mógł o tem przekonać, nie nadarzyła zresztą mi się po temu najmniejsza sposobność, lecz w tym wypadku nie małego znaczenia jest głos właśnie tej braci starszej bądź co bądź sąsiadującej z Opoińskimi i Kisielanskimi. Według więc ich nieobojętnego wcale zdania, uczynni są, dobrzy, trzeźwi i sumienni.

— Ręczę panu, że mógłbym zostawić pieniądze pośród wioski i być spokojny o ich całość — mówił mi jeden z okolicznych obywateli, którego głos odobnionym nie był.

A czy myślicie, że tak wielkiego trudu potrzeba, by pozyskać zaufanie tych panów na Opolu lub Kisielanach?

Właściciel ładnego majątku, pod którego właśnie gościnnym przebywam dachem, umiał zaskarbić ich przyjaźń, to przybyciem w roku ciężkim z pomocą, to z lekarstwem podczas choroby, to wreszcie rozstrzygnięciem sprawiedliwym sporu wynikłego pomiędzy nimi a jakimś dworem obywatelskim. I oto związał ich poczuciem obowiązku wdzięczno-

ści i zapanował nad nimi tą siłą wyższą, która szanować się każe i zmusza do ukochania. Pan Wł...

Al! żałuję, że nie mam prawa wymienić tu jego nazwiska, bo niespodziewając się, że zamiast zwykłej pogawędki, o panach na Opolu mówić będę i ich stosunku do zacnego mego gospodarza—nie zapytałem go o to; wolno mi jednak wymienić pierwsze litery jego imienia i nazwiska jako też majątku, a już ciekawi po nitce dojdą do kłębka, ja zaś z niewinnego wytlómaczę się szalbierstwa—owoż tedy, pan Wł. Ku. na Ostr... należy do tych wyjątkowych ludzi, którym na słowo ufa podejrzliwy z natury kmięć i taki oraz szlachciec nieco zezem a hardo na panów patrzący. Jeżeli komu a komu to *jemu* właśnie krzywdą się nie stanie, gdyby między takim szlachcicem a rodzonym bratem mego zacnego gospodarza spór wynikł—nie zawa- hałby się, z pełnem zaufaniem, całej sprawy swej do rąk mu oddać i, jakikowiek by sąd wypadł, wierzyć w sprawiedliwość tego sądu.

Zwyczaj jest, że z całą skromnością mówi się o takich faktach. Każdy czyn niecny, każde łajdactwo, każda zaułkowa zbrodnia cheiwie są przez panów reporterów chwywane i—jakgdyby to jakie delicye były—czytelnikom podawane na wety. Prawda, że cnota jest skromną, że nie żąda wcale popisu, a przed oklaskami się kryje, zatem trudno jej siedziby dopatrzeć—ale, gdy wypadkiem dostrzegła lewica, co prawica zrobiła—sądzimy, że nie byłoby grzechem błysnąć tym jasnym promieniem przed oczy ludzi, rozpalic do myśli lepszych, do czynów podnioslejszych, bo każde dobro ma w sobie pokrzepiającą siłę, bo człek uczciwy czuje się mniej odobnionym, zrażony godzi się ze światem i do dawnej powraca wiary.

W przelocie jestem w Warszawie, wystarczyło jednak mi godzin kilkanaście, by rozejrzeć się nieco po niej i dowiedzieć się, co słyhać na jej cichym bruku.

Hej—hej! doprawdy, że mamy już ciche bruki. Można z rozkoszą przejechać się trzęsącą dryndą warszawską począwszy od Placu Krasieńskiego przez Miodową, Senatorską, Wierzbową, Krakowskiem-Przedmieściem i całym Nowym-Swiatem. Taka niespodzianka ma spotkać wkrótce i Marszałkowską ulicę, Królewska nawet prawdziwie też po królewsku wyglądać z czasem, gdy ją szerokie obramują betonowe chodniki a sadzone z dwóch stron plotany przyjmą się i okazałe liście rozwiną.

Zaszedłem do Saskiego ogrodu.

Nie wiem czemu przypisać: czy dłuższej nieobecności mojej w Warszawie, czy większej dbałości o piękno tego naszego salonu letniego, ale Ogród Saski nigdy mi się jeszcze tak ukwieconym nie wydał, jak obecnie. Cała część jego, począwszy od kolumnady aż do kompasu, wygląda prześlicznie. Zachwyca oczy misterny rysunek gazonów i arabeskowa płatanina traw różnobarwnych; upaja ciebie woń lewkonij hojną ręką ogrodnika rozsianych do- koła, kielichy róż proszą, by je zerwać, ale przybite tablice na latarniach, oddające plan- tacye opiece publiczności, wstrzymują ciebie od karygodnego czynu. Z wielkim też smakiem jest ułożony kobierzec traw, wydzierzany delikatnym, liliowym kwieciami bratków na Krakowskiem-Przedmieściu przed pałacem Potockich, a i zadumany nasz Kopernik nad globem ziemskim, musi czuć wdzięczność dla tych, którzy mu kobierzec zieleni pod stopy położyli, darząc nadzieją, że kiedyś odpocznie w cieniu drzew świerków zielonych. Nie widziałem tylko odradzającego się ogrodu Krasieńskich, ani postępu, jaki park Ujazdowski uczynił, dowiedziałem się natomiast o rzeczy bardzo u nas niezwyklej, że—ceny mieszkań spadły.

A to dla czego?

— Czy gniewasz się na to?

— Ach—broń Panie Boże, ale wolno spytać—dla czego? Nasi panowie właściciele kamienic nie mają serc woskowych, tkliwe prośby lokatorów naj- lżejszego nie wyślubią znaku na ich twardej po- wierzeźni, żadnego zaś nacisku z góry nie było— a więc?..

— Wstrzymano się od wynajmu.

— A gdzież ci się podzieli, którzy dokonali czynu tak heroicznego? Wątpimy bardzo, ażeby choć przez jedną noc zechcieli przespąć się na bruku. Nie wierząc w rozmięczenie serc panów kamie-

niczników, przypuszczamy chyba, że gdy na po- dniu Europy domy wałę się od trzęsienia ziemi, u nas same wyrastają kamienice i to w przeciągu jednej nocy.

— Dzienniki o tem piszą.

— A od czego, mój kochanku pustka ogórkowe- go sezonu? Lecz co tam więcej u was słyhać, tyl- ko o prawdziwych mi rzeczach powiadaj.

— Omałósmy nie pomierali z pragnienia.

— Co? takie mieliście upały, że Wisłę całą zdo- liście wypić?

— Nie, ale pan Lindley nie obliczył się z pro- dukcją wody i smok nadwiślański ciągnął i ciągnął, ale na trzecie już piętra kamienic jednej kropelki wyciągnąć nie mógł.

— Jakżeście poradzili sobie?

— Posłaliśmy po pana Lindleya.

— I co?

— A no, naprawione wszystko zostało — ale przeciąg dni kilku ulice Warszawy nie podlewano a w Alejach Ujazdowskich, Szucha i Jerozolimskiej wznosiły się tumany kurzu. Czy nie zauważyliście że prawie pół Warszawy na katar cierpi?

— Tak—niby, ale co dalej?

— Podczas twojej nieobecności odbyło się walne zgromadzenie członków Towarzystwa opieki nad zwierzętami. *Postanowiono*, możemy wozic zwierzęta do uboju w specjalnie na to zbudowanych wozach, tak, by im niepotrzebnych męczarni nie zadawać, a że niema pod ręką odpowiednich furgonów, zatem— *postanowiono* je zbudować i to nie tylko dla więk- szych zwierząt, z których mamy befsztyki i rozbefy, ale i dla mniejszych, jak cielęta, owce i świnię; *po- stanowiono* sprawić kamerę asfikeyjną, by bez mę- czarn bezpiecznie psy zabijać, dla tych zaś, które wykupione być mogą urządzić schronisko, jako też i dla chorych do psiego należących rodu; *postano- wiono* też urządzić poidła dla psów, ażeby podczas zbliżających się kanikularnych upałów mniej miał do roboty zakład dr. Bujwida, *postanowiono* również i wiele innych cudownych rzeczy, które razem z poprzednimi wykonane być nie mogą z powodu braku pieniędzy. Walne więc zebranie członków Towarzystwa opieki nad zwierzętami rozeszło się, wykreśliwszy z listy jednego z pośród siebie, jako uczestnika sławetnego, dystansowego wyścigu.

— Aaa!..

— A nie mówiłem?—zabrział w tej chwili cie- niutki głos za mną.

Był to mój chochlik szepczący, odpędzony ongi przeze mnie, tryumfujący dzisiaj.

Potrzeba więc czasem i kłamliwym chochlikom wierzyć. Przyznamy jednak, że z wszystkich po- stanowień Towarzystwa, jedno — z chluba jego — wykonało się. Dowiedzieliśmy się też, że Towarzy- stwo opieki ma poczynić starania, ażeby wyścigi konne w ogólności zniesione były.

Pia desideria!

Wierzę w pojawienie się nowego Kopernika, który ziemi każe w przeciwnym biedz kierunku, ale wyprowadzić folblutów z Mokotowskiego pola żadna moc nie zdoła, chyba że zgodzonoby się na zniesienie totalizatora, lecz to znów jest małżeńską para tak silnia skojarzona z sobą, że nietylko roz- wód ale seperacya dla obojga śmiertelnym byłaby ciosem. U nas w teatrach dramatów ani tragedyi nie lubią, a zgodzonoby się odegrać ją na polu Mo- kotowskim? Zaczne, ale pobożne życzenie. To też wniosek walnego zgromadzenia nie brzmiał silnem przekonaniem w możność uskutecznienia, ale za to zarząd z całym uporem a słusznym postanowił po- ciągnąć do odpowiedzialności sprawców śmierci nieszczęśliwych koni, choć jak dotąd, winowajcy ukrywają się sumiennie i, jak dotąd, szuka się wia- tru w polu. Zarząd zawiadomił również, iż wbrew pogłoskom postanowiono to *wykonac*, oraz zbija do- niesienia dzienników, że nosił się z jakąś myślą układu z winnymi, zgadzając się na okup przez zło- żenie funduszu na rzecz Towarzystwa.

Zupełnie słuszne.

Niech brak pieniędzy w jednym wypadku, w in- nym zastąpi stanowczość i poczucie przyjętego na się obowiązku.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

CZĘŚĆ DRUGA.

Upływały cztery lata.

Przez czas ten setki dni w nocie się zmieniło, tyśiące barw jaskrawych i posępnych na przemiany po niebie przemknęło; przesuwały nad światem niejedne burze letnie, i na podmuchach wiatrów przewirowały zimowe śnieżyce; wody z wartkich potoków przeobraziły się niejednokrotnie w lodowe bryły, w przejrzyste opary i obłoków kłęby, by potem znów przepłynąć po ziemi różnemi szlakami,— a szary dom w pośród drzew, za sztachetami, za spelzłą zieloną bramą stał, jeno gęściejszemi łąkami na goncianym szczycie białiał i w oczy bił—na licu wszakże i na otoczeniu zdał się młody i czerstwy.

Ręce ludzkie burzą—i ręce budują.

Gdy zaś wytrwał i krzepkie poczną hardo opór stawiać i nawet z rzeźbą czasu wojnę toczyć, wyłomy uparcie równać, szczeliny zasklepić, prochy rozsypujące się w kamień skuwać—to i pracę nieubłaganego niszcyciela łamią przez pół.

A dusza ludzka i do ostatka czasem przygiąć się nie da, ani wystudzić. Jeden cios zgnębi, drugi podniesie.

Tak i z Joasią. Dwa gromy, które uderzyły w nią prawie bezpośrednio, podziały całkiem odmiennie.

Zdrada ukochanego objęła ją szalem bólu, z którego wszakże powstała wielka siła, wzrastająca w pragnienie, by wzbicie się po nad tych, co cierpienie zadawali, opanować się, zwyciężyć—zapomnieć i wytrwać. Zresztą w głębi duszy dziewczyny bezświadczenie tkwiło przekonanie, że narzeczony zdradził ją bez uprzedniego zamiaru, bez fałszu i uknu-tej obfudy, wprost porwany czemś, co swoją drogą, wydawało jej się niepojętem, jak siła burzy i wiatrów.

Drugi cios przeciwnie, nosił w sobie wszystkie moralne ujemne składniki, których pierwszemu brakowało.

Czuła, że Wacław nie zawahał się przed wzbudzeniem jej pracy, bo wszelką dodatnią działalność ludzką lekceważył; przytem wymiarkowała, że od pierwszej chwili, gdy sprawę gruntu poruszono—porozumiewał się z Johanem Krebs, i podniecał go do oporu, żądań i hardości; że zatem subtelnie obliczał moc i donosność wymierzonego przeciw niej pocisku. Tym razem też byłaby może nieprędko zdołała się podnieść o własnej sile.

Lecz złość i niekzemność ludzka, obojętna dla wielu o niewysokim poziomie etycznym—w jednostkach prawych budzi wszakże nietylko żarliwą chęć przeciwdziałania, lecz czasem nawet i zaciętość, potrzebną w niejednej walce broń zwycięską.

Pan Kazimierz wystąpił do układow i zapasów z Niemcem—i po dwutygodniowych utarczках postawił na swoim, lubo z dopłatą rubli stu pięćdziesięciu odstępnego. Upór tak szedł na upór, że nie można było inaczej; Krebs bowiem dowodził, że i tak nieobliczone straty ponosi, ponieważ zamierzał budować fabryczkę dla najstarszego syna i materiały już gromadził.

Pan Morski wszakże niemniej myśl zapuszczał w przyszłość—i stratę rs. 150 uważał jeno za tymczasową i osobistą; ustąpienie zaś Niemcowi i dopomożenie do tego, by nowy warsztat założył i mocniej korzenie zapuścił na tej ziemi, poczytywał za krzywdę ogólną i wielką. Zatem wolał ponieść pierwszą dla uniknięcia drugiej.

Tym sposobem Joasia pokrzepiała na duchu, i odzyskała wytrąconą z rąk pracę, w której też szukała z całym zapałem celu i zadowolenia.

Ogród zaś nadspodziewanie pomyślnie się rozwijał. Już pokrywał wydatki na uprawę i niezbędne

ulepszenia; przynosił nadmiar pewne zyski na czysto, rokując w niedalekiej przyszłości niepłonne nadzieje większych korzyści.

Właścicielka sumiennością i wytrwaniem zyskiwała szczerze uznanie w mieście i okolicy; a pomyślowością tak zaciekawiała, że ludzie obcy szukali nieraz u niej rady i objaśnień.

Na wiosnę ruch zapanowywał najwięcej ożywiony, z powodu rozprzedaży flanców i rozsady warzyw rozmaitych; co—jako przemysł zaspakajający potrzeby i włóścian okolicznych—daleko lepiej się opłacało, niż hodowla konwalii, za kosztownych dla mieszkańców niewielkiego miasta.

Jakoś po piętnastym Maja, dnia jednego, gdy Joasia z Ludką, na pomocnicę przysposobioną, krzątały się po inspektach, Frania przybiegła naraz oznajmiając, że jakaś pani z dziewczynką przyjechała powozem „do ogrodu“ co w skróceniu znaczyło: za kupnem lub interesem.

Joasia szybko tedy odrzuciła płócienny fartuch i grube rękawice, pył strzepnęła z dość krótkiej ostrej spódniczki, i przyglądziwszy włosy na skroniach wymykające się z pod dużego kapelusza, pobiegła naprzeciw przybyłej.

Niebawem też przy furtce zetknęła się z osobą młodą, wzrostu dobrego, kształtów pełnych, o twarzy matowej, szarej, mało ożywionej, bogato zaś ubraną i obcą zupełnie.

Na widok jej wstrząsnęła się.

Instynktem, jasnowidzeniem serca poczuła, że się nie myli—i żywym napotyka obraz, dawno znany duszy, na zasadzie tego, co się o słuch obijało, lubo niewidziany nigdy.

— I zegóż ona chce?—zapytała w myśli.

Natychmiast jednak wejrznie przerzuciwszy na trzechletnią dziewczynkę przy niej zawisła całą uwagą, przy jej czarnych gorących oczach, twarzy czułej i włosach ciemnych, barwach i rysach tak dobrze znanych i głęboko upamiętnionych.

Przez chwilę pozbawiona też przytomności, niemal oddechu, nagle przerzucona w oderwany świat wspomnień—oczeknęła się dopiero na dźwięk głosu, obcy i martwy:

— Więc jak isć? Prosto, czy tędy?

— Prosto, prosto! — odparła ze skwapliwością skrupulatnego człowieka, którego na zapomnieniu chwytają.

„Prawda!... Czegóżby ona tu chcieć mogła?“ — dodała w myśli. I pchnęła furtkę.

Widma, które przesunęły się przed nią żywe, krwawe, wstrząsające—zniknęły.

Naprzód puściła przybyłą, a sama o krok w tyle nakazywała sobie spokój, obojętność—właściwe wobec interesanta.

I w samej rzeczy tężala w jakiejś moralnej ciszy, jak żelazo z roztopionego płynu kamieniejące w skałę pod działaniem chłodnego powietrza.

Lecz znów uległa wzruszeniu.

— Czy to pani jest główną kierowniczką? — zapytała nieznajoma przystając po chwili; i objęła ją badawczem, lubo chłodnem wejrzniem szaroniebiskich oczu.

— Tak—ja!—śmiało odparła dziewczyna, lubo serce jej zabiło.

Obie zmierzły się wzrokiem, z ciekawością sondującą.

Przez mózg Joasi przemknęło znowu: i czegóż ona jednak chce? Poczuła bowiem, że pytanie rzuczone nie dotyczy interesu.

W istocie żadne żądania nie nastąpiły.

Obca obrzuciła ją tylko raz jeszcze spojrzeniem „szacującym“—poczem rysy jej przybrały wyraz poprzedniej apaty, jak przy rozpatrywaniu przedmiotu, który wszelką wartość z biegiem czasu utracił.

Joasia tymczasem mogła była swą powierzchownością zająć każdego, kto patrzeć umiał.

Przez tych parę lat rozwinęła się nietylko fizycznie przy ciągłym ruchu na powietrzu, a nabyła i wyłączonej jakiejś powagi, szlachetnej pewności siebie, która czyniła ją niby wyższą, okazalszą, odbijając się w ruchach, w zwrocie głowy, w spojrzeniu—w charakterze całej postaci. Z jej pogodnego czoła biła myśl, zastanowienie, zrenice patrzyły już nie ze ślepej ufnością dziecięcą, lecz z wiarą jasną, świadomą, na sile i wytrwałości opartą, pełne niejako blasku zahartowanego w próbach metalu, który sam

wiedzieć się zda, co wytrzymać zdoła, co dać—co wart.

Jeśli więc nieznajoma, to jest pani Adamowa Starska, nie umiała odczuć, że ta dziewczyna w prostej sukni, zapracowana jak najemnica, mogła mieć w sobie czar budzący silne uczucia, i moc ducha zapewniającą też moc panowania nad innymi—to wina tylko jej uśpionej natury, czy przygasłej bystrości.

Joasia przeciwnie, z dziwną przenikliwością odtworzyła sobie obraz życia i losu tej, która zajęła jej miejsce przy boku człowieka, tak gorąco ukochanego pierwszym ogniem serca.

Wiedziała od ludzi, którzy nieomieszkali się zajmować Starskimi, cdkąd osiedli na wsi o mil kilka od Nek., że Adam już w miesiąc potem, jak z nim zerwała był po ślubie, że dalej—pożycie jego z żoną niezgodne było i nieszczęśliwe.

Teraz bacznym rzutem oka odgadła potwierdzenie tych pogłosek.

W powierzchowności pani Julii Starskiej, w wyrazie oczu, w układzie, w ruchach, nawet w ubraniu odbijało się wielkie zniechęcenie, i był szczególny rozdźwięk jakby niepewność i niezdarność istoty, która sama w sobie równowagi nie ma, a bezustannie doznaje ostrej krytyki, nagany, obojętnej szorstkiego, może nawet brutalnego.

Jej kosztowny strój świadczył, że dla stanowiska chce lub potrzebuje ubrać się bogato. Ale brak wykończenia, kosmyki włosów niedbale wiszące u skroni i warkocza, sposób wsadzenia kapelusza krzywo i niezgrabnie—aż nadto mówiły o stałym czy chwilowym zniechęceniu kobiety, która wie, że nigdy w niczem podobać się nie będzie; która zresztą nigdy nie słyszy z ust przychylnych: „zdejm to, włóż tamto... zawiąż niżej, wyżej... będzie ci do twarzy;“ więc też sama przestała rozmyślać przed zwierciadłem, przy pomocy jakich środków stać się miłą czy ładniejszą, choć wcale przystojną była.

Wyobrażenie tedy, jakie powzięły o sobie wzajemnie było wprost odmiennie.

Pani Julia pomyślała lekceważąco, że Adam „nie miał tak bardzo w kim się kochać“ do czego ostatecznie wagi nie przywiązywała, lubo zachciała „przedmiot“ zobaczyć.

Joasia przeciwnie doświadczyła nagle współczucia dla tej kobiety bezbronnej, a snadź nieopatrznie, czy niezwykłym zbiegiem okoliczności połączonych z człowiekiem tak trudnym i gwałtownym.

Ale oczywiście, sądu powziętego o sobie jednym słowem nie zdradziły.

Tymczasem dziecko zniecierpliwione pociągnęło matkę za rękę, nawołując—i poszły dalej.

Joasia pomiarkowawszy, iż nie jest całkiem obcą dla przybyłej, tem pilniej starała się na właściwym stanowisku utrzymać, i zapytała natychmiast jakimi objaśnieniami, czy produktami służyć może.

Pani Starska wyliczyła tedy parę gatunków flanców, które we własnych inspektach zawiodyły; nadmieniła, że przyjechała do miasta dla sprawunków i fotografowania dziecka; wreszcie dopytywać poczęła o plantacyę krzewów na wina owocowe.

Joasia poprowadziła ją zatem przez mostek rzucony nad strumykiem w miejsce dawnej kładki, a następnie obwodziła po winotłoczni i suszarni, wszystko tłumacząc jasno, a z tak zupełną swobodą i zadowoleniem, jakie nadaje wewnętrzne poczucie swej wartości—że pani Julia coraz ciekawiej spoglądała na nią i wreszcie westchnęła.

— I tak sama pani się zajmuje wszystkim?—zapytała w końcu aby coś powiedzieć.

— Na wspólkę z siostrą i mam pomocników.

— Dawno?

— Blisko pięć lat.

W tem przypadła do nich dziewczynka, która odczepiwszy się od matki, biegała po uliczkach.

— Mamo! kup co dla „tatysia!“ Ja chcę ojczysiowi przywieźć niespodziankę, — zawołała natarczywie.

— Janiu, bądź grzeczna... *Janette* — poprawiła pani Adamowa śpiesznie, a z zakłopotaniem.

Rumieniec oblał lica Joasi.

— Więc on dał jej imię dziecku? Imię, które matka przyjęła, niezawodnie przed chrztem, nie wiedząc czemu wybrane!

Spojrzała na dziewczynkę wzrokiem, w którym męszał się: ból, żal, miłość, słodycz z goryczą—

II.

i odbił znów jak w zwierciadle szereg widm z przeszłości, uspiomych, siłą woli poskromionych i zartarych, ale żywych.

Dziewczynka zaś ulegając niewytłomaczonej sile pociągającej, rzuciła się, rączkami objęła ją powyżej kolan, wołając jak do bliskiej znajomej.

— Niech pani mamę poprosi! ja chcę dla „taty-sia“ kupić niespodziankę!

Rumieniec na twarzy Joasi pociemniał. Serce uderzyło jej mocno.

Bezwiednie pochyliła się—i już ujmowała dziecko pod paszki, chcąc podnieść ku sobie, ucałować.

— *Janne—Janette!*... jedziemy!—zawołała pani Starska, i niespodzianym gwałtownym ruchem za ramię uchwyciła małą.

Ręce Joasi zeslizgnęły się—i tylko rączki drobne uściśnęły w dłoniach. Ale oczy przejrzyste zwróciła równocześnie na matkę z tak głęboką i rzewną wymówką: „i czemu bronisz jej, skoro nigdy nie złego wam nie uczyniłam i nie uczynię?“ że błąd rumieniec zabarwił szarą twarz; pani Julii.

Zawstydzona się—choć po ustach przemknął jej ulotny złośliwy uśmiech.

— Samowolny malec — ulubienica ojea, — wy-rzekła jednak, by załagodzić niegrzeczność nawiązaniem rozmowy. — W mieście kupimy ojczysiowi podarunek. Chodź! chodź, bądź grzeczna!—mówiła do dziewczynki, która nóżką biła o ziemię nadąsana.

— Flance zapewne już dla mnie gotowe? proszę, co się należy?—dodała dość sztywnie, chcąc widocznie odzyskać chłodną powagę.

I poszła naprzód, skinawszy głową.

Na twarzy Joasi już był spokój zupełny.

Skręciła w bok i porozumiała się z ogrodnikiem niosącym paczkę.

Po chwili przybyłe siedziały w powozie.

Dziewczynka od buzi przesyłała pocałunki.

Pojazd się potoczył, kurz podnosząc za sobą.

Joasia została na miejscu, przy furcie—patrzyła w dal.

Do tego dnia sądziła, że tych lat parę, między przeszłością jej, a przeszłością położyło przepaść, zupełnie odcinając te dwie części życia od siebie. Dotąd nikt, ani ona sama nie podnosiła głosu, którym wspomnienia swe przycisnęła jak szczątki grobowcem, nie pytając, co pod tym pomnikiem milczenia jest, czy żdźbło żywe pozostało.

Lecz teraz nagle odchyłono go; struny jej serca dotknięto — wydały dźwięk; żal bezmierny rozległ się w jej duszy, jak w arfie po zmarłym pozostałej — potraczonej. Żal za szczęściem chybnym, czy za ideałem podeptanym, czy za nieogarnionym dobrem, które stworzyć była przez uczucie pragnęła, a które się rozsypało.

I porwała się nieopisana tęsknota, która po tych latach raz pierwszy dała jej uczuć, że jednak istniały tajemne węzły, łączące ją ze wszystkim, co za umarłe osądziła;—wiązące jak coś, co ot wzrok jej wiązało z nikłym w oddali podnoszącym się tumanem pyłu, który jak mgła opadał, jak wspomnienia jej uciekał, a jednak oczy przykuwał, myśl zagarniał.

— Tak—ona musi być nieszczęśliwą—pomyślała zwracając się w duchu do Julii.

Czuła instynktem, że nie może być inaczej, że tej kobiecie brak jakiejś siły, czy umiejętności do stworzenia szczęścia — czy wprost może brak wielkiej miłości, jaką ona miała.

Intuicyjnie odgadywała też źródła jej szorstkiego wybryku — i nie miała najmniejszej urazy o przykrość wyświadczoną.

Przeciwnie; doznawała wrażenia, że jakaś spójnia nieuchwytna zadzierżnęła się między nią a *tamtą*, jak gdyby mogły na losy własne oddziaływać.

Po chwili jednak bezwiednym skojarzeniem myśli, nawet nierozjaśnionych na dobre i nieukształtowanych, spojrzała na rękę, na której błyszczał skromny pierścionek z turkusem.

— A jam przecie bliska cichej przystani — pomyślała.

I zdawało jej się, że czuje fale duszy, układające się napowrót spokojnie i gładko.

Lipiec był—jeden z miesięcy gorączkowej pracy dla Joasi i Ludki, które od dwu lat prowadziły fabrykację win owocowych, oprócz warzywnego i kwiatowego przemysłu.

W dniu tym młodsza okulizowała róże; starsza zaś w wielkich opałach znajdowała się w tak zwanym „składzie“, czyli dawnej, przeistoczonej stodoły, której strych pułapem oddzielony i okienkami zaopatrzony tworzył suszarnię; dolne zaś wewnątrz stanowiło obszerny skład na naczynia i przyrządy w winotłoczni nieodzowne.

Tu właśnie ruch panował ożywiony.

Już misy i kadzide w znacznej części były wypróżnione z rzadkich powideł, które w tych szerokich naczyniach jeno płótnem przykryte na dobę, rozpoczynały fermentację,—i już miążgę tę kończono przelewać do pras dla wyciśnięcia soku i sprwadzenia go do beczek.

Należało prędko usunąć to niby „francuzkie czerwone“ wino z polskich jagód czarnych, jakich dostarczały lasy okoliczne; nazajutrz bowiem miało rozpocząć się porzeczkobranie—i znów wyrób „węgierskiego tokaju“ krajowego.

Dwaj tedy ogrodniczekowie, a zarazem stróże nocni żwawo obracali korbami przy prasach, lub zataczali beczki; a cztery dziewczyny, dochodzące pomocnicie niemniej zwinnie przemieniały naczynia, powidła do pras nakładały czerpakami, lub sok przez lejki zlewały do baryłek.

Słońce ku zachodowi się chyliło, dzień pracy kończył—robotą niedokonaną do następnego ranka czekać nie mogła.

— Zostańcie godzinę dłużej, i tak przed nocą do domu zajdziecie. Jutro za to puszczyć was godzinę wcześniej, sumiennie,—odezwała się Joasia, widząc że zdążyć żadną miarą nie zdołają.

— Dyc wszystko jedno,—a i niech tam!—jednomysłnie zabrzmiało w odpowiedzi, przyjacielsko.

— A słuchajcie! Jeśli do niedzieli oberwiecie mi wszystkie porieczki, to na jesieni każda po pięć krzaków do ogródka dostanie. Ale porządnie robić, bo gałązki poglądam i resztki zbierać każę, więc będzie gorsza z tem mitregą i nagroda przepaść może!—zapowiadała Joasia z powagą, nieco wszakże uśmiechem zabarwioną.

Dziewczyny porozumiewająco zerknęły ku sobie raz i drugi. Widziały, że jednego słowa za żart brać nie można. Mimo to roześmiały się swobodnie a przychylnie.

— A to *chęba* pójdziem na wypródkę,—odezwała się najśmielsza.

— A gdy skończym w sobotę na południe, to panienka szósty krzaczek każdej doda!...

Chłopaków nagła oskoma na tę robotę wzięła, przy której można było przecie ukradkiem niejedną garść jagód do gardła wsypać. Zapytali tedy, czy i oni razem z dziewczkami stanąć mają.

Lecz dyrektorka wiedząc, że nadto przy takiej wspólnie wynikłoby zabawy i śmiechu, odmówiła.

Dalsze pytania i rozkazy nagle się przerwały. We wrotach na oścież otwartych stanęła Anielka Różnicka, smukła, zręczna, mało dawną siebie przypominająca, ładnie choć skromnie ubrana, a w ruchach i wyrazie twarzy ożywiona.

— Anielka!—z radością wykrzyknęła Joasia.—Kiedyżeś przyjechała?...

— Wczoraj.

— Ach, jak się cieszę, moja droga! Ale uciekaj, bo czarnych deseni nabędziesz na sukni!...

— Więc się nawet nie przywitasz?...

— No, witam cię, jak mogę, ściskam zdaleka serdecznie—ale patrz, jakie mam ręce! A śpiemy się ogromnie...

— Sądziłam żeś już o tej porze swobodna...

— Moja droga! Co dla mnie godziny znaczą?... Lecz za kilkanaście minut umyję się i przyjdę. Posiedź tymczasem przy mamie...

— Ach.. tyle mam do opowiadania!—westchnęła przybyła.

Lecz zamiarkowawszy iż niebezpieczeństwo obryz-gania naprawdę zagraża, a wynurzeń swobodnych przy świadkach i hałasie być nie może, odeszła i w drzwiach domu niebawem zniknęła.

Pani Tekla przed niespełna rokiem uległszy atakowi apoplektycznemu, ledwo część władzy zachowała w członkach, wskutek czego prawie bez ruchu

siadywała po dniach całych w dawnym fotelu męża, używając spokoju, jakiego pierwej zmęczone jej nogi nie znały. Paraliż poczynił przytem zrazu niedostrzegalne spustoszenia w jej mózgu, które wpłynęły na zmianę usposobienia; stępił mianowicie nadczuła wrażliwość, więc odjął zarazem po części i grzebiącą frasobliwość, która jej zatrzuwała życie. Jej stan unieruchomienia umożliwił oczywiście zaprowadzenie w domu drobnych reform.

Gospodarstwo objęła systematyczna Frania; a prowadząc je z dobrym rozkładem, znajdowała dość czasu na roboty hafciarskie, które objęła w zastępstwie Joasi, co przy wyrobionych stosunkach dawało jej dochód niezły choć nieślady.

Gdy więc Anielka weszła do jadalnego pokoju, zastała tam dawny, dobrze znany obraz, jeno w szczegółach zmieniony i—przez czas w życiu, jak na płótnie malarskiem—w barwach poszarzały.

Pod oknem na fotelu siedziała pani Tekla, skubiąc różnokolorowe skrawki do uprzedzenia; przed nią mąż rozkładał karty. Z boku zaś przy drugim oknie znajdowała się jedyna ożywiała w obrazie postać. Frania przy krosnach, które na widok wehodzącej porzuciła.

Siedemnastoletnia już dorosła, była ona krępa-wa jak w dziecięctwie, ale miłej powierzchowności, z dołkami w pełnych policzkach, a pewną rezolucyjnością w nieco zadartym nosku i wyrazie ładnie wykrójonych ustek.

Ledwo przywitania się skończyły, gdy wpadła Joasia.

— Widzisz, jak się pośpieszyłam! — zawołała, pokazując już obmyte ręce. — Ludkę zostawiłam w zastępstwie — dodała, i rzuciły się z Anielką w objęcia.

Przez tych bowiem lat parę zacieśniła się między niemi zażyłość; znajomości zaś inne, od wyjazdu Heli niepodtrzymywane prawie się pozrywały, tem więcej, że Zdzierscy sprzedawszy folwark, na wieś się wyprowadzili.

— Matunię zaraz do ogrodu wyniosą,—po chwili rzekła Joasia zwracając się do pani Tekli; przyjaciółce zaś dała znak, aby w pokoju zostały.

Właściwie przypisywała ona matce większą drażliwość, niż to miało miejsce. Usiłowała tedy osładzać jej przykrość kalectwa na każdym kroku, i poświęcała niemal wszystkie wolne chwile.

— Ależ to widzę, moja droga, że przez ten rok mej nieobecności urządziłaś fabrykę na wielką skalę,—odezwała się Anielka.

— O tak, ten rok znać dobrze naszej pracy! Gdy na przyszły sprzedam wino w zeszłym wyprodukowane, już wystała, trzechletnie—to spłacę tem całą należność wuja, rs. 550! Wyobraź sobie co za radość, co za duma! Już wszystko, wszystko będzie nazywało się własne, to jest zapracowanemi pieniądze nabyte, i te narzędzia, na które mi wuj pożyczył i sama plantacja!... Ale opowiadaj mi pierwej o sobie. Widzę, żeś zadowolona, wesola—czemu jednak w ostatnich listach wyrażałaś się tak niejasno, jak gdybyś miała nie wracać z Warszawy? Może za mąż idziesz? — zapytała ciszej.

— Ach, nie, nie,—rumieniąc się odparła Anielka, zawsze w uśmiechu słodka, w spojrzeniu łagodna i nieco zalekniona.—Tylko jedna z moich koleżanek namawiała, abyśmy weszły do spółki i sklep założyły.

— Aleś nie przystała?

— Nie, bo mama nie ma chęci się przeprowadzać, bo zresztą możeby nam się niepowodziło?

— To i lepiej, moja droga. Tu, bez współzawodnictwa stokroć więcej zdołasz stworzyć na każdym polu.

— Ale jak mi żal Warszawy! jak tam życie miłe! Ta rozmaitość, ruch, tyle przyjemności i rozrywek dostępnych na każdym kroku... Ach! samo wyjście na ulicę, w aleje, na wystawy, jak rozweseli i zabawi!—mówiła „słodka dusza“, którą snadź wielce rozkołysał pobyt w stolicy.

— O tak, —wszystko to miłe bardzo, — gorąco przyświadczyła Joasia—ale ja nie opuściłabym już Neli za nic i nie rzuciła moich zajęć, nawet przy zmianie warunków.

Anielka spojrzała ciekawie i pytająco:

— A przecież, przecież mama powiedziała mi, że podobno zaręczyłaś się przed kilku tygodniami z profesorem Kubikiem? Czy to prawda?

Joasi twarz spowaźniała nagle.

— Tak—prawda.

— Ach, jak się tem zmartwiłam! — zawołała Anielka. — Tak marzyłam o tem, abyście się z Władkiem pobrali i mama pragnęła cię za synową!... On cię tak kocha, że nie masz pojęcia! Był teraz w Warszawie przed moim wyjazdem; nowe miejsce wkrótce ma objąć—wiesz? będzie miał pensyi przeszło tysiąc rubli i mieszkanie. „No, teraz już się chyba odezwać mogę?” powtarzał i tak mnie mordował wypytywaniem co myślę, jakie mam przeczenie: czy go przyjmiesz, czy odrzucisz... Al żeś mi to w listach nie napomknęła, że się w końcu na tego profesora decydujesz! I cóż cię ostatecznie skłoniło?

Rozmawiały stłumionemi głosami, nieco na ubożu. Państwo Lescy mało je słyszeć mogli, tem więcej, że pan Wiktor wciąż niewinne dowcipki puszczał na rzecz karcianych dam i kawalerów.

— Postawię ci, duszko, podróż waletów do bogdanki, aby wywróżyć czy profesor szczęśliwie powróci do Joasi ze swojej Grecyi, i czy ona nam figla nie wypłata odmową—mówił tasując karty po napoleońsku, do innego pasyansa.—Tylko poczekaj! na tego galopanta muszę króla żółtego wybrać, bo jużciż Kubik do waletów z figury nie podobny—żartował i z uśmiechem spoglądał na dziewczyny, uchwytywszy z ich rozmów nazwisko pana Tomasza.

Alc Joasia nie chcąc widocznie całej sprawy przy rodzicach rozpościerać, wstała pod pozorem, że do fabryki zajrzeć musi — i dopiero po chwili wracała z pomocnikami.

— Baryłki stoczone do piwnicy? Otwory liśmi przykryte? A wytlók nalany wodą? — zwięzłe wypytywała po drodze.—To wynieście starszą panią do ogrodu,—zakomenderowała w końcu odebrawszy potwierdzające odpowiedzi.

Chłopacy żywo do pokoju wkroczyli—i pani Tekla w minut kilka znalazła się razem z fotelem pod starym klonem, wśród orzeźwiającej zieleni.

Obok Frania rozstawiąc pojechała na stole przyniesione do wieczery naczynia i zapasy; Ludka zaś z robotą przysiadła na ławce, co widząc Joasia, o matkę spokojną, pociągnęła Anielkę w bok nieco, dla swobodniejszej rozmowy.

Jeszcze wszakże i słów kilka nie zdołały zamienić, gdy boczną ścieżką idąc zbliżyła się ku nim sucha, niska, niemłoda kobiecina, z twarzą na brąz spaloną od słońca, w czarnem, wiele przykurzonym ubranku na głowie, z chustką na ramionach, a trzema okrągłemi koszami na jednym i drugim ręku—miejska przekupka.

— A, Wincensiowa! Dobry wieczór wam!—kiwając głową z daleka, rzuciła Joasia.—Cóż? rachunek zdać przychodzicie? powiódł się, kosze próżne?

— Ależ, paniusiu, broń Chryste! co dziś była za heca!—odparła kobieta, której rysy lubo zaostrozne wiekiem i chudością, nie miały wszakże typowo „rozszczezanego“ wyrazu ujadaczek targowych.—Po groszu musiałam na kwarcie porzeczek opuścić! Ach, Jezus! co to człowiek za Krzyż Pański ma z tymi żydami! Zawzięli się, i ani weź, ani uprosz, ani przegadaj. To to i państwa wina, jak Boga kocham! i państwa. Bo widzą przecież, że u żyda w owocu śmiecie, że jeno korzonkami do góry stroszy jak nakłada, a mówią: „Daj i ty, katoliku taniej, kiedy tam taniej” — „Co wy za sumienie macie katolickie, co wam każą lepiej nakładać, ale za to brać drożej” — A te żydy słuchają i potem w oczy człowiekowi wytykają i szwargoczą, że chcieliby człowieka w suchem utopić!... Trzy złote groszy sześć straty o taką—za przeproszeniem—parszywą zawiść, jak mi pan Jezus miły, czy nie szkoda?!

Joasia słuchała bacznie.

W ucziwość starej Wincusiowej, z wiernej sługi pasowanej na handlarce, wierzyła bezwzględnie. Zresztą znała dobrze te zatargi targowe.

— To trudno! nie nasza wina—zaczęła.

— No, mój Boże! przecie paniusia kochana wie, jak bym z duszy serca pragnęła jak najwięcej wytarować... Czy to ja nie rozumiem na co tu ten grosz przydatny, Boże!—westchnęła.

Joasia przeprosiwszy towarzyszkę, zabrała Wincusiowę do pokoju dla zrobienia rachunków i odbioru pieniędzy.

Kobiecina, człapiąc prunelowemi pantoflami, dalej opowiadała epizody dnia, ale milsze, mianowicie;

że dwie panie „w szkiełkach na nosie, te, co zawsze u nas biorą,” powiedziały: „znamy się na tem! te porzeczeki trzy grosze więcej warte” — i nie nie odtargowały...

Anielka tymczasem oczekując, przechadzała się zadumana.

Na drobnej, dziecinnej jej twarzy zaczęło się o krótkim nosku i ustach często rozchyłonych, widać było rozmarzenie i pewien niepokój. Wiedziała o dawnej miłości przyjaciółki; teraz więc posłyszawszy o jej projektach małżeńskich, tak pragnęła wy badać, czy takie uczucia mijają — czy z pierwszych, „prawdziwych“ wyleczyć się można?

To też odrazu zagadnęła powracającą Joasię:

— Więc naprawdę idziesz za Kubika, mimo tylozawowej odmowy? Czyż byś go pokochała?...

Brwi Joasi drgnęły. Spokojnie wszakże odparła:

— Właściwie nie pokochałam pana Tomasza, ale mam dla niego szczerą przyjaźń i wdzięczność za wszystko: za uczucie, za dobroć, za delikatność serca, której tyle dowodów dał mi podczas choroby mamy,—przytem ufam mu bez granic...

— Ależ to wszystko nie miłość!—przerwała Anielka, czerwieniejąc cała.

Joasia spojrzała z zastanowieniem.

— Prawda!... Ale to podstawy do trwałego uczuciowego przywiązania... no, bez umiesień, lecz i bez złudzeń i zawodów, i bez samolubstwa...

Anielka wzruszyła ramionami, jakby niezadowolona.

— Nie dziw się! — widząc to rzekła Joasia. — W ośmnastym roku marzy się o jakimś nadzwyczajnym i wyłącznym szczęściu dla siebie. Ale się ani wie w czem go szukać — i nie przypuszcza, że ono tkwi w rzetelnym spełnianiu obowiązków życia... Ja nie chcę zmarnować swego życia; wiem, że mi pracy nie zabraknie; lecz gdy pomyślę że mogę mieć własną rodzinę, to przedewszystkiem widzę w tem cel nad inne wyższy...

— Więc już jesteście zaręczeni i mówi się o ślubie?...

— Jesteśmy po słowie. Pierścionków nie zamieniliśmy jeszcze—choć wuj umyślnie ten podarował mi do zaręczyn — rzekła, pokazując obrączkę z turkusowem okiem.

Tu jednak smutny uśmiech zawisł na jej ustach, a mgła tęsknoty przesłoniła jasne źrenice.

— Al to biedny Władek! Gdyby był wcześniej otrzymał posadę i oświadczył się, byłabyś go może przyjęła, powiedz? Teraz jak mu nawet prawdę donieść?

Joasia już się uśmiechnęła.

— E, pociesz się, rozpatrzy, rozmyśli, — rzekła.—Może będzie nawet wołał Franię, albo Ludkę.

Anielka spojrzała żywo, myślą tą uderzona, lecz znać było, że równocześnie gdzieindziej uwagę przerzucą:

— Wiesz, widziałam Helę. Umyślnie poszłam ze stryjenką do Wodewilu, wiedząc, że tam występuje, jak wyładniała, jak odmieniona! Podmalowana i dobrze, ale ładna. Wyrosła, zmężniała, a rusza się, śmieje, jak gdyby na scenie od dzieciństwa była. Mówię ci, że wierzy nie chciałam oczom. Grała w „Nitouche,” oklaski zbierała rżęście. Pomyślałam, że gdyby tak spojrzała w krzesła, poznała mnie i przypomniała sobie dawne czasy, was wszystkich.

— Och, ona pewnie o nas nie myśli, — głucho wyrzekła Joasia z nagłym rumieńcem na twarzy.— A czy ty wiesz, że... że ona wówczas uciekła od wujostwa potajemnie i wyjechała odrazu do poznańskiego teatru, podobno nie sama?... Al nigdy o tem mówić nie mogłam! Rodzice dotąd nie znają prawdy—przynajmniej tyle im oszczędzono.

— Słyszałam, że za męża wychodzi, za jakiegoś Waltera z tej samej trupy.

— A niechby wyszła. Zresztą co to już dzisiaj zaznaczy?

— Pisuje do was kiedy?

— Raz napisała po chorobie mamy, o czem widać postronnie się dowiedziała.

— Odpowiedział jej kto?

— Ojciec.

— Martwi się nią?

— Wcale; dowodzi, że takie widać jej przeznaczenie. Ale mama ile się napłakała!

— A Waclaw daje znaki życia?

— Bardzo rzadko.

— Ale! Cóż to ojciec twój wspomniał, że Kubik w Grecyi?

— Bo wyjechał na całe wakacje, lecz tylko do Krakowa, dla zebrania w bibliotece materiału do obszernego studjum o klasykach... Chciał rzeczywiście zwiedzić ubóstwianą Grecję, ale rozważył, że... że może kiedyś pojedziemy tam razem—nawet przy tej sposobności doszło do ostatecznych oświadczeń... Choć ja nakłaniałam go, by podróży nie odwłóczył—bo czyż będę potem swobodniejsza? Część zajęć w każdym razie sobie pozostawię, Ludka nie da rady.

W tem rozległ się głos Frani, nawołującej na herbatę.

— Ale to zacerwieńnięła się, gdym zapytała, czy za męża nie idziesz,—nagle przypomniała sobie Joasia.—Przyznaj! coś się mieszasz!

Anielka istotnie płonęła jak wiśnia. Od wielkich jednak zwierzeń wymówiła się, obiecując je na raz inny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

— *Zarysy literackie* przez Stanisława Krzemieńskiego, nakład Lewentala, są najświeższą publikacją obecnej chwili, czytelnicy naszego pisma, znajdą tu przecież niejedną rzecz im znaną, bo mieszczącą się w „*Bluszczu*“ przed laty kilku, ale obok tego są tu prace nowe, skreślone nie tylko z talentem wyższym, ale z myślą podniosłą, z uczuciem szlachetnie czującego i życie pojmującego człowieka. Autor pisze też w słowie wstępnem, że są to „pragnienia i zasady żywe, przekonania, tkwiące nie tylko w rozumie, ale i w uczuciu, które człowiek ideałami swemi mianuje,” dodając, że w zakresie spraw życia czytelnik spotka się w tej książce z „ideałami zachowawczemi, bo widocznie myśl dostrzegła w rzeczywistości świata, pojętej w sposób powyższy, pewne dobra, których zachowanie za potrzebne dla niego uznała. Obok zachowawczych znajdują się i postępowe tam znowu, gdzie myśl nakazywała zerwanie z rzeczywistością. Świat jest zbyt wielkim ogromem, aby się dał przetworzyć, przeszłość ludzkości zbyt wielką jest potęgą, aby pozwoliła się zdmuchnąć. Metoda życia świata zostanie taką, jaką była, bo jest życia tego prawem, iszczącem się od początków cywilizacji. Świat można tylko poprawiać, ulepszać. Twórcy ideałów nowego zupełnie życia są poetami, hodującymi kwiat marzeń, na marzeń gruncie, albo rzecznikami egoizmu własnego, lub zbiorowego pewnych gromad społecznych. Rdzenną poprawę świata wewnętrznego przynieść może tylko poprawa człowieka wewnętrznego, istotnej siły twórczej w cywilizacji moralnej, złąd i zachowawczość tej książki w sprawach religii, życia w rodzinie i wychowywania charakterów.“

Pragnąć można, aby każda matka i żona, każdy mąż i ojciec przeczytali uważnie rozdział „Rodzina jako stowarzyszenie do szczęścia,” bo rodzina jak wykazuje autor, stanowi tę szkołę umoralnienia istoty ludzkiej, która udoskonalać już w dziecku, w młodzieży, przymioty te które czynią człowieka istotą dostojną, otwierają jej szlak życia podnieslejszy i zarazem równiejszy. Miłość rodzicielska powinna przecież mieć podstawę w celach życia dobrze pojętych, bo samo uczucie tu nie wystarczy, a potrzebnym też jest i plan wychowania, skreślony na podstawie zdrowego rozsądku i uczuć moralnych. Zdobyć się na to może inteligencya nawet zupełnie prostego człowieka, jeżeli tylko posiadać będzie rozum zdrowy: jeżeli tylko znajdzie sobie podporę w przywiązaniu do prawdy i sprawiedliwości. Sam jeden rozdział „Rodzina jako stowarzyszenie do szczęścia,” już czyni książkę wysoce po-

żyteczną, a gdy z kolei przedstawi się umysłowi wartość rozdziału: „Nowa zasada wychowania,“ razem będą to dla myśli dane, przynoszące niemałą korzyść rodzicom i wychowawcom, przez podsuniecie niejednej myśli pożytecznej i skierowanie ich uwagi na pewne potrzeby młodych serc, młodych myśli i marzeń o życiu i jego celach, jego obowiązkach.

Rozdziały: „Modlitwa Hektora“ „Kobiety Szekspira,“ „Byron,“ nietylko zajmą czytelnika, ale dadzą mu ten plon, który czytanie przynieść nam powinno: skierowanie umysłu w stronę szlachetną życia i jego celów szerszych, niż tego codziennego życia zabiegi, codziennych myśli gońce.

— *Zarys najnowszej literatury polskiej* Piotra Chmielowskiego wyszedł w trzecim wydaniu, przejrzanym i znacznie powiększonym. Rzeczeń dzieli się na dwie części: „Przekonania i dążności,“ „Osoby i dzieła.“ W części pierwszej odtworzony jest obraz idei filozoficznej, oraz literackiego i społecznego kierunku tego czasu, który zamykał się między 1864, a 1894 r. Autor w przedmowie do pierwszego wydania uprzedził czytelnika, iż zarys ma „cechy więcej publicystyczne, niżeli historyczne,“ co w wydaniu drugim potwierdza. Wydanie trzecie powiększonym jest tylko przez wprowadzenie tu kilku pisarzy nowych: Maryana Gawalewicza, Czesława Lubńskiego i Józefa Stefana Chameca, z przytoczonymi wyjątkami z ich utworów, oraz szerzej traktowanymi wiadomościami o stanie literatury Mazurów, Kaszubów, Ślązaków, co rzecz uzupełnia i należne zaokrąglenie jej daje.

— *Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich*, zawierający ludowe, oraz naukowe nazwy i synonimy polskie, używane dla zwierząt i roślin od XV wieku, aż do chwili obecnej. Źródłowo zebrane i zestawione z naukowymi synonimami łacińskimi zgromadził i ułożył Erazm Majewski, tomów II.

— *Wyobrażenia u dzieci, jej odmiany*, studium psychologiczno-pedagogiczne przełożyła na nasz język p. Eugenia Piltz z francuskiego oryginału, skreślonego przez Fryderyka Queyret. Dziecko to wykazuje, iż różne są typy pamięci, tak jak różne są typy wyobraźni nietylko u dzieci, ale i u ludzi dorosłych, w skutek czego nauczanie powinno też być przystosowanym do usposobień uczącego się dziecka i należy mu pozwolić, aby szło tutaj za wolą własną, czy ucząc się głośno, czy odczytując w cichości to, co w umysł wrazić mu się potrzebuje. Queyret, profesor filozofii w jednym z kolegów francuskich, skreślił studium to, jako wskazówkę dla rodziców i nauczycieli, aby nie uważali tego za kaprys, co mieści się w naturze dziecka, a dodać należy że jest tak nie w tej jednej rzeczy. Trzeba dziecko we wszystkich jego skłonnościach poznać i zrozumieć, aby je dobrze wychować można było.

— *Dzieje powszechne ilustrowane*, skreślone na podstawie najnowszych badań i dzieł historycznych w opracowaniu prof. Czesława Pieniążka, D-r Henryka Stawczyńskiego i Alfreda Szczepańskiego pod kierunkiem prof. Ludwika Kubali, wychodzą zeszytami w Wiedniu. Zeszyty ostatnie 16, 17 i 18, wyszły świeżo, obejmujące historią perską od czasów Artaxerksa, znajdując się w mieście naszym w księgarni Centnerszvera. Przedmowa mieści rozumne zdanie, że nauka historii, łączy się węzłem nierozrywany z historią cywilizacji.

— *Dzieje początków cywilizacji powszechnej* Streislera, przekład z niemieckiego, z biblioteki ludowej, daje czytelnikowi obraz pierwotnego stanu ludzkości, rozwoju pierwszych usiłowań człowieka, aby podniósł się nad stan zwierzęcia, wytworzył sobie ognisko rodzinne, zapanował nad wszystkimi innymi twórcami, żyjącymi materialną jedynie stroną istnienia. Pisarz niemiecki nie odpowiedział przecież zadaniu; przedmiot nie jest traktowany dość zgodnie z wiedzą obecnie zdobytą, a nawet nieraz błędnie. Tłumacz dopiskami rzecz po większej części naprawił, ale krytyka wykazuje tu jeszcze błędy ważne.

— *Geografia fizyczna*, skreślona przez Archibalda Geike, profesora mineralogii na uniwersytecie edyńskim, przełożona z uzupełnieniem według czwartego niemieckiego wydania przez Józefa Morowicza, kandydata nauk przyrodniczych i kusto-

sza gabinetu mineralogicznego uniwersytetu warszawskiego, wyszła w nowej edycji.

— *Arcydzieła Szekspira w przekładach* St. Koźmiana, K. Ostrowskiego, I. Paszkowskiego, I. Kasprowicza, A. Langego, St. Rostowskiego wychodzą zeszytami, których trzynasty zamknął tom pierwszy, mieszcząc tragedye: „Romeo i Julia“, „Otello“, „Król Lear“, „Makbet“.

— *Z dziejów moźnej rodziny, kartka historyczno-obyczajowa* przez Kajetana Kraszewskiego, przedstawia historię małżeństwa Piotra Sapięhy z Zofią Karłówną, zawartego w 1727 r., obejmując zarazem tło życia społecznego epoki. Autor, obok własnego archiwum w Romanowie, miał do czerpania materiały w „papierach po sapieżyńskich“ i razem wyszła rzecz zajmująca i warta poznania.

— *Chata Nikodema*, poemat przez K. Glińskiego jest w obec dzisiejszego braku utworów poetycznych w naszej literaturze miłą niespodzianką, zwłaszcza że przedmiot mieści w sobie kwestyę społeczną—kwestyę klas, rozdziałających ludzkość. Bohaterka, Salusia, jest wychowanką; równie dobra, szlachetna i piękna, nie pragnie zabaw, nie tęskni za wielkoświatowem, gwarnem życiem miast, bo dobrze jej na wsi, którą kocha, szczęśliwa w otoczeniu natury, której piękno silnie odczuwa. Lud wiejski jest jej wielce miłym i wynurza się z tem uczuciem swoim przed starym ogrodnikiem Grzegorzem, mówiąc:

Niewiem jaka siła,

Coś, co mi w duszy dziwnym głosem gada,

Przybiega ztamtąd wprost do serca wpada,

Gra pieśnią wichru, szepcze wierzby szumem...

Pociąga ją do siebie szczególnie chata Nikodema, wywierająca na nią jakiś urok, jakgdyby to było rodzinne jej miejsce, jej ojcowizna i stary sługa opowiada jej, że pod chaty tej strzechą mieszkała niegdyś mamka panicza, jedyna które go w strasznej chwili pożaru wyniosła z narażeniem własnego życia z palącego się pałacu. Rodziców nie było w domu, bawili gdzieś daleko, zagranicą, ona też rzuciła się bohatersko w płomień, aby uratować dziecinę, przypłacając to życiem własnym, za spełniony ten akt heroiczny padła nieżywa i hrabianka, wysłuchawszy tej epepei poświęcenia woła:

O wy ciche chaty,

Więc to przeczuło biedne serce moje,

Że po nad wszystkie ciepłanniane kwiaty.

Ja sadów naszych przeniosłem powoje.

Macie wy swoje niezbadane głębie,

Niewydołyte dotąd złota bryły,

I smutki wielkie i płacze gołębie,

I niezwiędzane poświęceń mogiły.

— *Dzienniczek Franciszki Kraszińskiej* przełożyła na język francuski baronowa de Baulny pod tytułem „Un roman dans l'histoire“ i zamieściła go w dwutygodniku paryżkim „Le Correspondant,“ którego redakcja pisze: „Dzieje przedstawiają często epizody szczególne i bardziej wzruszające, niż najśmielsze fikcyjne powieściopisarzy. Przygody Franciszki Kraszińskiej są pod wielu względami wymownym tego przykładem. Bardzo ciekawa kartka zawarta w rocznikach polskich w drugiej połowie XVIII w. ma po za interesem opowieści tę jeszcze szczególną zaletę odtworzenia epoki i obrazu obyczajów mało znanych publiczności francuskiej“.

RUCH MUZYCZNY.

Jeszcze o fantazyi Paderewskiego.—Orkiestra p. Maydera.—Popis w Instytucie Muzycznym.

Drugie powtórzenie „Fantazyi polskiej“ Paderewskiego w Dolinie Szwajcarskiej sprawiło na nas tak dalece dodatnie wrażenie, że poświęcimy mu chętnie osobną wzmiankę. Każde dzieło większych rozmiarów jaśniej nam swój plan odsłania, gdy się je słyszy parę razy; tu zaś zachodzi ta jeszcze ważna okoliczność, że przy nowem przestudyowaniu partyi orkiestrowej przez dyrektora Noskowskiego, introdukcya i zakończenie „Fantazyi“ wyszły zupełnie inaczej niż wprzód. Przy takiej orkiestrowej pomocy, nie dziw, że i pan Melcer nabrał jeszcze więcej życia i ognia, i porywając akcentował niektóre ustępy. Fantazyi tej, tak wykonanej, nie już zarzucić nie można; jest to dzieło przejrzyste jak kryształ, szlachetne, pełne zapału, a instrumentowane oryginalnie i mistrzowsko. Oprócz fantazyi, p. Melcer wykonał tego wieczoru koncert 5-ty (Es dur) Beethowena, a w wykonaniu tem okazał wiele smaku i poczucia stylu. Wielki postęp zauważyliśmy w sposobie traktowania instrumentu, i w ogóle w całym charakterze gry artysty: więcej tu skupienia, więcej spokoju, więcej bardzo szczęśliwie użytego piana.

Orkiestra p. Maydera nie przestaje cieszyć się powodzeniem, a przy dłuższem z nią obcowaniu, zaczynamy sobie o niej wyrabiać zdanie ogólniejsze. Zdanie to sformułowalibyśmy obecnie tak: najwięcej zaufania obudza w nas orkiestra wówczas, gdy gra drobne klasyczne suity, jak: „Peer Gynt“ Griega, „Mozartiana“ Czajkowskiego i t. p. Pewne wykończenie w szczegółach jest nieraz wyborne, a mniej uroczysty nastrój kompozycy, nie sięgającej do głębin dramatycznych, odpowiada lepiej spokojnemu temperamentowi dyrektora. W symfoniach również nieraz wznosił się p. Meyder do prawdziwego poczucia stylu—ale nie we wszystkich. Nieraz jego tempa bywają tak powolne, że aż drażnią. Naprzykład, wykonaniem symfonii V-tej (C moll) Beethowena sprawił nam zawód bardzo przykry. Szczególniej pierwsza część tego olbrzymiego dzieła, które autor sam nazwał „Symfonią życia“, straciła przez ślamazarne tempo całe życie i dramatyczność. Był to jakiś suchy szablon bez duszy. I andante było wzięte za wolno, i w szczegółach nudne. Dopiero scherzo i finał zdołały naprawić złe wrażenie...

Z pod pogodnego i świeżego nieba koncertów dolinowych przenieść się musimy na chwilę (t. j. na 4 przeszło godziny!) do natłoczonych, kipiących warem Sal Redutowych, aby tam wysłuchać dorocznego popisu uczniów i uczennic konserwatorium. O czemuz nie rozdzielono tego popisu na dwie raty, co mając dwa z rzędu dnie świąteczne, tak było łatwym! Wysłuchać 16-tu numerów programu i to sporych, nie mógł chyba żaden śmiertelnik, żaden bodaj najsumienniejszy sprawozdawca, a jeśli wysłuchał z nadludzkiem woli wysiłkiem, czy mógł w sobie zachować dość chłodu, aby być sprawiedliwym i bezstronnym?... Powiedzy więc lepiej z góry, że koncert na klarnet (pan A. Olszewski z klasy prof. Sobolewskiego) Divertissement (?) na kontrabas (p. Riedel z klasy prof. Mayera), Rondo z koncertu na fagot, duet na dwie trąbki, świadczyły chlubnie o rozwoju tych klas, dostarczających corocznie nowych adeptów różnym orkiestrom; a teraz przejrzyjmy program od początku i zastanówmy się nad temi numerami, któreśmy dobrze i uważnie przesłuchać mogli.

N. 1 dał nam chór Gounod'a z oratorium Tobiasz. Kompozycya wspaniała, ale tak długa, że jej połowa, naszym zdaniem, najzupełniej była wystarczającą do wykazania zalet klasy, wzorowo, jak zawsze prowadzonej przez prof. Stattlera.

N. 2 koncert C moll Beethowena (część 1) odegrany z towarzyszeniem orkiestry przez pannę Wandę Landowską, fortepianistkę, uczennicę (obecnie) prof. Michałowskiego. Wykonanie wyborne, świadczące o wysokiej muzykalności tej isto-

tnie wyjątkowo utalentowanej młodej osóbk. Techniczne trudności wspomnianego koncertu, oraz dodanej „Cadenzy“ Moschelesa nie są zbyt wielkie; ale stają się niemi niemal przez precyzję, rytmiczność, pewność i smak, z jakimi zostały przezwyciężone. Orkiestra (wykształcona pod kierunkiem p. Noskowskiego) sprawuje się bardzo dobrze, gra rytmicznie i czysto.

N. 3 koncert Vieuxtemps'a (4-ty) odegrany przez pana Franciszka Mierzyńskiego, skrzypka, ucznia prof. Barcewicza. Ton niezbyt wielki, ale miły. Doskonała czystość w grze. Technika poprawna i pełna smaku. Talent wyróżniający się i wiele obiecujący.

N. 4 Waryacje F. dur Czajkowskiego, odegrane na fortepianie solo przez pannę Z. Wasiljew, uczennicę prof. Strobla. Gra nader poprawna i inteligentna.

N. 5 Recitativo i arija z op. Gioconda, odśpiewane przez pannę Karolinę Mosdorf, uczennicę prof. Horbowskiego. Poprawnie, ale nie wyróżniająco się. Nierównie większe wrażenie wywarł śpiew panny Michałowskiej (walc z op. Romeo i Julia, Gounod'a), a szczególnie popis barytonisty pana Simkina. Oprócz zalet dobrej szkoły, wykazał p. Sim. głos sceniczny, podatny, i niemało smaku w cieniowaniu.

W dalszym ciągu z fortepianistek wyróżniła się jeszcze panna L. Jankowska, uczennica prof. Michałowskiego odegrawszy z dokładną techniką i poczuciem trudną fantazyę F. moll Chopin'a. Pan Podhorecki (klasa prof. Federhansa) wybornie odegrał koncert na flecie, p. Skarzyński (klasa prof. Cinka) wykazał postęp znaczny w grze na wiolonczeli. Dwie nadto uczennice prof. Michałowskiego, panny: Kowalska i Kulikowska, odegrały wzorowo na dwa fortepiany „Improvisate“, Reineckiego. Nareszcie wielce interesującym numerem była część 1-a symfonii kompozytorki p. Jotejko, ucznia prof. Noskowskiego. W symfonii tej jest wiele dobrych myśli, są i zręczne pomysły instrumentacyjne, świadczące o niemałym uzdolnieniu w tym kierunku, jest bieg myśli szlachetny i logiczny.

Jan Kleczyński.

Wrażenia jesienne z Japonii.

Święte miasto Kioto

przez

PIOTRA LOTI.

(STRESZCZENIE).

(Dalszy ciąg).

IX.

Oto sklepy kupców herbaty w Kioto. Nipońskie rodziny zatrzymują się tu, i sadowią. Dalej ukazuje się mnóstwo świętych kiosków, zawierających różne bardzo ciekawe rzeczy. W jednym z nich stał wielki czarny byk o dzikim ponurem wejrzaniu; zwierzę to czczone jako świętość, uwiązane na białych jedwabnych postronkach, miało dla bezpieczeństwa przez nozdrze przeprowadzone kółko, wyłożone słoniową kością; słoma pod niemi podłożona odznaczała się wzorową czystością. Drugi kiosk zawierał pięknie rzeźbiony wóz bożków, a według objaśnień mego djina, do wozu tego zaprzęganego owego byka przy pochodzie bożków, co odbywa się w licznych otoczeniu kapłanów. Oprócz tego były tu sztandary, złote dragi do nich, oraz rozmaite przedmioty, używane podczas wielkich uroczystości, odbywających się corocznie według niezmiennego, od lat tysiąca ustalonego porządku.

Tłum stawał się coraz liczniejszy, i stanęliśmy wreszcie przed wielką świątynią. Wysoko skomplikowany dach wznosił się przed nami w kształcie szarej góry, po nad wierzchołki starych drzew, za-

słaniając sobą cały widok w głębi. Do bożków prowadzą olbrzymie schody, zapełnione tłumem nipońskich mężczyzn i kobiet. Ludzie ci szli po większej części bosy, lub w białych skarpetkach z pododdzielnymi palcami; na dole pod strażą bonzy stała niezliczona masa drewnianych bucików i słomianych sandałów; jak jednakże rozpoznają ci ludzie swe obuwie przy wyjściu? Była to dla mnie zagadka. Zdjąłem i ja moje półbuciki bez obawy, aby nastąpiła zamiana, drugich takich bowiem nie widziałem, i zacząłem wstępować na schody w towarzystwie mego przyjaciela Kalekawy, przeciskając się cokolwiek przez obojętne stojące grupy, aby dojść prędzej do celu. Żółte twarze o małych oczach w oprawie nakształt migdału, zwróciły się ku mnie ciekawie, powstał cichy szmer podziwu, skierowano nawet pod moim adresem kilka ukłonów, na które pobudzony do śmiechu, odpowiedziałem skinieniem głowy.

Schody prowadziły na długą werendę opartą na filarach, poza nią rozlegała się świątynia. Można było usiąść tu na białych matach, zarzuconych mnóstwem damskich małych tytonierek. Krata dzieląca świątynię na dwie połowy, odgraniczała tłum wiernych od bonzów, siedzących w kucki w wewnętrznej, przyćmionej, tajemniczej części gmachu przeznaczonej dla nich; białe mieli ubranie, a czarne hełmy na głowie. Za niemi nad drugą przegródą na etażerkach mających przynajmniej po piętnaście metrów długości, stał zbiór świętych wazonów i symbolów. Świątynia ta rzeczywiście poświęconą była czysto synteistycznemu wyznaniu, nie dostrzega się tu żadnej buddyjskiej figury, żadnej postaci ludzkiej, ani zwierzęcej; uspakajało to i orzeźwiało, po nadmiernej obfitości widzianych bożyszcz, któremi należałoby oswoić się; pomiędzy kadzielnicami i wazonami nie było żadnej wykrzywionej twarzy, nie, tylko krągłe te zwierciadła z polerowanej stali, przedstawiające symbolicznie prawdę.

Za przykładem wiernych, wrzuciłem poza przegródę, dla bonzów przeznaczoną, kilka sztuk monet; pieniędzy zebrało się już bardzo dużo, wszystkie maty były niemi jak zasiane; bonzowie, którzy mogli wieczorem dopiero zgarniać jak grabiami, udawali, że ofiar nie spostrzegają. Moja danina zrobiła dobre wrażenie, słyszałem wokoło siebie wyrazy uznania: „Ten cudzoziemiec jest to doprawdy bardzo porządny człowiek.“

Wszyscy obecni odmawiali szeptem długie modlitwy i klaskali w ręce, od czasu do czasu wzywając duchów rozpięchniętych w dalekiej przestrzeni.

Czasami jeden z bonzów wstawał, i po wspaniałych schodach z czerwonej lakki szedł w głąb świątyni. W górze schylał się przed największym zwierciadłem, spoczywającym na bukicie srebrnych kwiatów. Inni bonzowie padali wówczas twarzą na ziemię, a za każdym z nich włókł się tren długiej jego szaty i zwieszały szpiczaste końce pagodowych rękawów; leżąc tak rozplaszczeni na podłodze, podobni byli do wielkich skrzydlatych zwierząt, nieznanego kształtu. W głębi, w półcieniu, na etażerkach pomiędzy wazonami i symbolami biegały szybko małe jakieś szare stworzenia; były to myszy i szeszury.

Podczas całego nabożeństwa, jeden z kapłanów, za pomocą długiego paska z białego materiału, wprowadzał w ruch rodzaj ogromnego, miedzianego dzwonka wiszącego u sklepienia, a wydającego głuchy, jak gdyby z oddali odzywający się dźwięk, podobny do brzęczenia olbrzymiej muchy.

W znacznej odległości od tej świątyni i tego przedmieścia, znajdują się teatry, zgromadzone obok siebie w środkowej, najbardziej ruchliwej części miasta wśród sklepów z błyszczącymi się materiałami, towarami z lakki i porcelaną. Są to wysokie drewniane budynki, skromnie, bez wielkich nakładów obrobione, a pokryte prawie zupełnie różnokolorowymi chorągwiemi, malowanym papierem, obrazami w złotych ramach i lustrami; pstrokaty, w złym guście szyld jarmarczny kuglarza.

Oprócz tego powierają jeszcze chorągwie z pasowego jedwabnego materiału, na bambusowych, niezmiernie długich drągach.

Wewnątrz, proste, drewniane te budynki odznaczają się także jarmarcznym gustem. W łóżach trybuny mieszczą się osobistości z wyższej sfery. Na parterze gromadzi się na matach śmiejący tłum pospolitych ludzi, z małymi swemi puszkami z tytoniem i fajeczkami.

Przedstawienia odbywają się od rana do wieczoru, a trwają nieraz przez ciąg ośmiu dni; są w najwyższym stopniu realistyczne, tak że niekiedy, krew się tu nawet przelewa. Orkiestra składa się z gongów, cymbałów, gitary i fletów; wszystko to grzechoce, jęczy, skrzeczy w niesłychanie dziwny sposób, a tak żałośnie, że muzyka ta dreszczem przejmuje.

Tak samo jak u nas, spotyka się tu, już tylko na scenie, wspaniałe kosztowne uzbrojenie i zbytkowy ceremonial dawnych czasów. Aktorzy mówią powoli i wyraźnie, gardłowemi dźwiękami, a mowa ich jest prawie monotony śpiewem, recitativo. Tak samo, jak u nas powodzenie teatru zależnem jest od wielu względów, a głównie od wywołanego wrażenia; po większej części grę aktorów pokrywa jakaś piękna dama, kokietująca na widowni.

Co do aktorek, nie należy się łapać na ich piękność, urok, słodycz ich głosu, ujmujące obejście; są to zawsze przebrani mężczyźni w perukach.

Scena jest tarcz obrotową, jak na kolejach żelaznych, lecz większą. Ściana przegradzająca, z przymocowaną do niej dekoracją tworzy głąb sceny, a ustawiona w połowie tej tarczy, dzieli ją na dwie połowy, tak że tylko jedna zawsze jest widzialna. Po skończonym akcie, maszynerya zaczyna powoli poruszać się dokoła przy odgłosie gongów; wtedy widać obracającą się i znikającą dekorację, oraz grupę aktorów stojącą nieruchomo w ostatniej swej pozycji. Następnie przegradzająca ściana odsłania swą drugą powierzchnię, do której przytwierdzona jest dekoracja następnego aktu, a jednocześnie, jak na tacy wprowadza przed publiczność aktorów w układzie właściwym przy rozpoczęciu nowej sceny.

Podczas antraktu przypatrywałem się dolnym salom, zwiędziałem garderoby aktorów, oraz kulisy. Pragnąłem poznać niemłodą, dystygowaną damę, która rolę swą odegrała wybitnie i ze szlachetnym wyrazem macierzyńskiego uczucia.

Przyjęła mnie z ujmującym uśmiechem. Naturalnie był to mężczyzna, przebiegły, frant nieokreślonego wieku; w czasie antraktu przebiegał się, jak dziki człowiek, prezentował szkaradną żółtość swego ciała, a nie rozstał się jedynie z warkoczem dżemii szpilkami upiętym, i twarzą starej kobiety.

Przechodząc koło domu, z wnętrza, którego odzywają się tony gitary, dźwięczące gorączkowo, jak węgierski czardasz, można tam wstąpić dla przypatrzenia się. Są to lokale fachowych muzykantek i tancerek, które wynajęte można na obiady i wieczorne uroczystości.

Wszystkie prawie są ładne i dystygowane, nerwowe i wyróżniające się, przytem wszystkie mają niezwykle ładne ręce. W dzieciństwie już wybierano je wśród najkształtniejszych dzieci, i wychowywano w Yeddo najwyższej szkole tych Guechas, jak w konserwatorium, aby z nich wytworzyć istoty zbytku i przyjemności. Mogą one wykonywać wszystkie tańce, jakie tylko kto sobie życzy, powabne, mistyczne, gorszące i okropne; tańczą niekiedy z odkrytą twarzą, a niekiedy w maskach. Bywają tancerki mające zaledwie lat dziesięć; śliczne, małe, bezduszne lalczki, zwinne, łaszące się jak kotki, dziwnie ubrane, pomalowane, pachnące, o matluczkich zgrabnych rączkach.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż organizacya departamentu gospodarczego dokonana zostanie tak, iż ze sześciu istniejących dotąd oddziałów postanowiono utworzyć trzy: miejski, pod którego zarządem znajdować się będą zakłady miejskie publiczne i stanowe ziemskie z wszelkimi wchodzącemi tu urządzeniami, jako to drogami podjazdowymi i publicznymi, oraz oddział ogniowy i oddział żywnościowy.

— Dzienniki petersburskie głoszą, iż w obec zdarzających się często wypadków zagubienia na kolejach bagaży osób podróżujących, ministeryum komunikacyi wydelegowało starszego inspektora kolei do wszystkich stacyi węzłowych w celu zbadania i opracowania dokładniejszych przepisów zdawania bagaży podróżnych z jednej kolei na drugą.

— Według ostatnich rozporządzeń ministeryum finansów może zarządzać przejrzenia i sprawdzania ksiąg, oraz korespondencyi kantorów bankierskich i kantorów weksli bez uprzedniego żądania informacyi i objaśnień.

— W warszawskiej radzie miejskiej dobroczynności publicznej zaprojektowano podwyższenie pensyi kapelanom przy instytucyach dobroczynnych i szpitalach miejskich. Pensye te mają odpowiadać płacy pobieranej przez wikaryuszów parafialnych.

— Magistrat warszawski upoważnił zarząd miejski do ofiarowania na bezpłatną używalność Towarzystwa sztuk pięknych placu miejskiego pod budowę dla domu Towarzystwa, które przeciwieństwo uznano warunki oznaczone przez magistrat za zbyt uciążliwe i zaniósł doń podanie, aby grunt ten stał się wyłącznie własnością Towarzystwa, które inaczej nie mogło by korzystać z ofiary.

— Fabryka Wojciechów zażądała od zarządu wystawy metalowej dwustu biletów robotniczych, a zgromadzenie piwowarów warszawskich 265 takichże biletów.

— Zarząd War. Towarzystwa ogrodniczego zawiadamia, iż po dziesięcioletniej przerwie zamierza urządzić wystawę, zgromadzając taką liczbę okazów ze wszystkich działów ogrodnictwa, aby całość przedstawiła obraz postępu i rozwoju ogrodnictwa naszego. Konkursa, urządzone przez specjalistów przedstawiają tę pożądaną całość, jeżeli tylko właściciele ziemscy zechcą tu wziąć licznie udział. Komitet wystawy odwołuje się też do nich, aby tak w dobrze zrozumianym interesie własnym, jak i przez zamiłowanie przedmiotu nie cofali się od tego, równie jak i duchowieństwo, prosząc nietylko o nadsyłanie charakterystycznych odmian owoców i drzewek z ogrodów i sadów własnych, lecz aby zechcieli przemawiać w tym celu do parafian swoich, zawiadamiając, iż będą urządzone konkursa dla właścicieli z nagrodami pieniężnymi.

— Dochód z wystawy obrazów, należących do Muzeum sztuk pięknych, a trwającej dni czternaście przyniósł dochodu za bilety wejścia 399 rs., że przeciwieństwo urzędzenia jej wyniosły 534, zamkniętą ją z niedoborem 135 rs.

— Zamiar urzędzenia w mieście naszym muzeum sztuk pięknych, którego gmach zamierzano wznieść przy ulicy Królewskiej na gruncie należącym niegdyś do warszawskiego okręgu naukowego, nie może obecnie przyjść do skutku z powodu tak braku funduszy, jak i miejsca pod budowę. Czynią się tylko starania o wyznaczenie odpowiedniego lokalu w gmachu miejskim, co gdy odniesie skutek za-

mieszczoną tam będzie galerya obrazów należąca do zbiorów, pozostałych po byłej szkole sztuk pięknych, oraz sprowadzane rzeźby, gipsy, sztychy. Obok tego część gmachu zajęta by została na muzeum, a część na pomieszczenie szkoły rysunkowej, znajdujące się obecnie w lokalu wynajmowanym.

— Zarząd Salonu artystycznego na Nowym-Swiecie, otrzymał liczne zamówienia na obrazy do kościołów: do kościoła w Ufie obraz przeznaczony do wielkiego ołtarza „Chrystus na krzyżu“ Maszyńskiego, oraz „Madonna“ Alchimowicza. Do kościoła w Symbirsku obraz S-tej Katarzyny Gersona i S-go Jana pendzla Kotarbińskiego, oraz rzeźbę w drzewie Skoniecznego „Chrystus na krzyżu.“ Do Szadowa w okolicach Kowna „Zwiastowanie Najświętszej Panny“ Maszyńskiego i „Madonny“ Mireckiego. Do Wiłkowyszek „S-go Franciszka“ Gersona. Do katedry w Kielcach obraz większych rozmiarów „Wieczera Pańska“ Ksawerego Pillatiego podług Poussin'a, do Rachny w okolicach Lublina „Przemienienie Pańskie“ Mireckiego. Do Bargłowa w powiecie suwalskim zarząd Salonu wysłał wielki ołtarz w stylu gotyckim, wykonany przez Wład. Stadnickiego według planu architekta Kozłowskiego z obrazami: S-go Jana pendzla Gersona, „Boga Ojca“ Alchimowicza, oraz figurę Chrystusa wyrzeźbioną przez Proszowskiego, ambonę gotycką przez Forgałskiego. Wszystkie te dzieła sztuki chrześcijańskiej zostały w tych dniach wysłane na miejsce, oprócz tego otrzymane zostały zamówienia na obrazy i rzeźby do kościoła w Porytm w pobliżu Łomży, oraz do Sosnowca i Kielec.

— Suma ogólna ofiar złożonych na pogorzelców Brześcia za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego“ przedstawia 20,988 rs. Koszta, połączone z tem zajęciem, a podjęte przez wydawnictwo „Kuryera“, przedstawiają 282 rs., które redakcyja „Kuryera“ pomiosła z własnych funduszy.

— Wystawa obrazów Muzeum sztuk pięknych, urządzona w sali magistratu na rzec Warsz. Towarzystwa Dobroczynności, przyniosła od d. 3-go do 25-go czerwca 399 rs. Ze przeciwieństwo wydatek na urządzenie wyniósł 534 rs. przeto niedobór przedstawia 135 rs.

— Malarz Cichocki Feliks wyjechał na studia w okolice podolskie do wsi Mytniki, zaproszony tam przez hr. Adolfa Mostowskiego, właściciela bardzo pięknej i starannie dobranej galeryi.

— Malowniczy widok przedstawiała kompania, która d. 7 w ubiegłą niedzielę wyszła z kościoła św. Ducha, (popaulińskiego) pierwsza w tym roku dążąca do Częstochowy na odpust Najświętszej Panny Szkaplerznej. Przewodniczył pątnikom p. Paweł Czerwiński.

— Ateński Panteon zarysował się; w obawie, aby ten wspaniały zabytek starożytnej rzeźby greckiej nie runął, wezwano architektów, aby go zbadać i przedstawić plany wzmocnienia go.

— Przebywający w Rzymie rzeźbiarz Sosnowski przesłał w darze poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół nauk posąg Mickiewicza, wykuty w marmurze. Towarzystwo to pracuje obecnie nad illustrowaniem albumu archeologicznego, do którego otrzymało w spuściźnie po s. p. Annie Bielińskiej „Głowę Chrystusa“, od Matiasa Bersohna z Warszawy bardzo piękny odlew gipsowy wielkiej mosiężnej płyty, wykonanej w 1480 r. a pod którą leżą zwłoki Jakuba ze Scienna w katedrze gnieźnieńskiej. Adwokat Leszczyński z Warszawy przesłał Towarzystwu zbiór odlewów gipsowych, złożonych z szesnastu medalionów, przedstawiających typy Daków, zdjęte z kolumny Trajana. Jestto puścizna po Lenartowiczu, który zamierzając napisać poemat „Dak“, typy te zbierał.

— Prezesem krakowskiego Towarzystwa oświaty obrany został ponownie profesor uniwersytetu, Józef Pelczar. Towarzystwo założyło 634 bezpłat-

nych wypożyczalni książek, utrzymuje szkołę sług kobiet, urządza bezpłatne odczyty popularne. Brak funduszy stoi tu na przeszkodzie szerszego rozwoju działalności Towarzystwa.

— W Radzie miejskiej Krakowa, postanowiono wzniesienie Matejce pomnika w płaskorzeźbie, nie przenoszącego 4,000 zł. reń., kosztu. Ma on stanąć w kościele N. Panny Maryi w rynku i być nieodwołalnie dziełem rzeźbiarza swojskiego, lecz tak skromny pomnik nie odpowiada godności wielkiego artysty i jego zasługom w sztuce swojskiej. Młodzież szkoły sztuk pięknych pragnie wzniesienia wspaniałego pomnika przed gmachem szkoły na obszernym, pięknym placu, a dodać należy, że łączy się z tem żądaniem cała ta publiczność miasta, która umie cześć i czuć sztukę wyższą w jej zasługach oddziaływania na ogół.

— We Lwowie odbył się popis doroczny w zakładzie głuchoniemych, który może pomieścić 80 dzieci, gdy w Galicyi znajduje się 1,800 dzieci głuchoniemych w wieku szkolnym, a 10,000 osób głuchoniemych. W roku bieżącym dobudowano też nowe sale kosztem przeszło 25,000 zł., reń., przez co dzieci zyskały obszerną salę do rozrywek, obszerną salę do ćwiczeń gimnastycznych, salę do robót ręcznych i inne również potrzebne, lecz między rozmaitemi ulepszeniami, jakie w postępie czasu się wykonywają, Galicyjski wydział krajowy zaprzagnął jeszcze dodatkowej subweneyi na bite drogi, z celem dania zarobku ludności jeszcze w ciągu tegorocznej jesieni, a to z celem zapobieżenia wychodztwu do Ameryki.

M Y Ś L I.

Doświadczenie każdego roku, który nam ubiegł, to jedna karta w księdze nauki dla przyszłości naszego życia.

Kto nie umie wyciągnąć pożytków należnych z ubiegającego mu czasu, lekkomyślnym jest lub niedoświadczonym, starość jego nie przyniesie mu też dostatecznego plonu życia: tej korony dostojności, wskutek której nakazanem jest młodości powstawać przed siwą głową.

Zasiej czyn a zbierzesz nawyknięcia, zasiej nawyknięcia a utworzysz charakter.

Podwaliną i podstawą takiego stanu moralnego, któryby pozwolił człowiekowi żyć w zabezpieczającej go odporności przeciw wpływom złego, to siła woli i karność moralna, kontrola samego siebie, która zmuszając do rachunku ze sobą i czuwania nad sobą, staje się mocnym siebie ujęciem.

Wychowanie daje podstawę charakterowi, jest ziarnem przyszłych czynów człowieka. Ponieważ przykład jest pierwszym i potężnym nauczycielem człowieka, ognisko domowe gdzie chowa się dziecko wyrokuję niemal o przyszłości męża.

Smiles.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Rómera. Przekład z niemieckiego, ark. 15.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Wiadomości literackie. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Wrażenia jesienne w Japonii. Święte miasto Kioto, przez Piotra Loti (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Rómera, przekład z niemieckiego ark. 15-ty. — Przegląd mód. 13 wzorów i robót z opisem. — Sekre:ta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.